

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— 10 — Poznań 20 czerwca, 1888 r. — 9 —

Nr. 18.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski” w ekspedycji, lub w redakcyi, placą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycya, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolatomowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

W pół godziny później ubrany *à quatre epingles* scho-
dzi do sali jadalnej, zastając gospodarstwa domu gotowych
do dzielenia z nim „uczty skazańca,” jak grzecznie osta-
tnie swoje śniadanie w gościnnym ich domu nazywa. Wkrótce
potem nadchodzi Stazyja; generał usprawiedliwił swą nie-
obecność cierpieniem w krzyżach i ramionach.

Powóz zajechał przed pałac; państwo Leskjewitz to-
warzyszają odjeżdżającemu aż na taras, podczas kiedy Stazyja,
stojąc w otwartym oknie jadalnego pokoju, przesela mu
niezliczoną ilość całusów żółkłą swą rączką. Rohritz na
pożegnanie całuje rękę Katty, dziękując jej za kilka ty-
godni, tak przyjemnie w jej domu spędzonych.

W ostatniej chwili przypomina sobie, że zapomniał
zapałek, posła więc po nie służącego na górę.

— Liczę na to, mówi mu Katty serdecznie, że kiedy
świat i będący na nim ludzie *en masse* pana znudzą, to
przyjedziesz pan.....

— To z pewnością przybędę do willi Erlach, łaskawa
pani, ażeby ich ocenić *en détail*, odpowiada Rohritz, któ-
rego oczy błędzą z roztargnieniem po oknach pałacu. Na
Boże-narodzenie zatem do widzenia!

Na dworze chłodno; gruba, biała rosa posrebrza tra-
wnik; wczorajszy deszcz porobił znowu błotniste kałuże;
lipa już okwitła i tysiące opadłych, żółkłych kwiatków
okrywa ziemię; niebo zachmurzone, a od czasu do czasu
kilka grubych kropli deszczu spada ze szmerem na liście
drzew i cynowy dach pałacu.

Służący przed chwilą odniósł zapomniane zapałki, ale
Rohritz zawsze jeszcze ma coś do powiedzenia.

— Bądź pani łaskawą nie zapomnieć w mojem imie-
niu wyrazów uszanowania pani baronowej i.... nagle prze-
rywa. Tuż za sobą słyszy ciche kroki, jak gdyby lekko
kulejącej osoby; ogląda się żywo i widzi Stellę w białym
ślafrocisku; z lekko na tyle głowy upiętymi włosami, z błą-
dą ze wzruszenia twarzyczką, od której dziwnie odbijają
duże, błyszczące oczy.

— Nie dowierzam oczom moim, żebyś to ty być miała,
którą tak trudno nakłonić do wczesnego wstania, ale to

tem większa zasługa, mówi rotmistrz ze śmiechem, chcąc
trochę ukryć pomieszenie siostrzenicy.

Ż okien jadalnego pokoju dolatuje zjadliwy śmiechek
Stazyi.

— Czy cię to nie wzrusza, baronie, woła ironicznie;
bo trzeba panu wiedzieć, że do wstania o godzinie szóstej
rano może skłonić Stellę jedynie bardzo ważna przyczyna.

Biedna Stella oblewa się gorącym rumieńcem, oczy jej
zachodzą łzami, zawstydzona, nie śmiejąc iść dalej, stoi na
środku tarasu.

— Dziękuję pani z całego serca za ten dowód przy-
jaźni, mówi Rohritz poważnie, ale serdecznie, podchodząc
ku niej szybko; byłoby mi niewymownie przykro nie mógł
pożegnać się z panią.

— Miałeś pan wczoraj wiele nieprzyjemności z mego
powodu, odpowiada, jękając się zmieszana, a jednak oka-
załeś się pan bardzo cierpliwym; od śmierci ojca nikt
oprócz wuja Leskjewitza i pana nie był dla mnie tak do-
brym, chciałam więc raz jeszcze podziękować za to.

— Niech Bóg ma panią zawsze w swej opiece, szepce,
pryciskając do drżących ust jej małą, ciepłą rączkę.

— Spiesz się, bo inaczej pociąg odejdzie, przerywa
mu rotmistrz, towarzyszący przyjacielowi na stacyą.

Nareszcie wsiedli; stangret zacina konie, raz jeszcze
kapelusznami dają znak pożegnania i powóz znika w szer-
rokiej alei.

— Biedna, biedna Stella, pociesza ją Stazyja syczącym
od gniewu głosem. Co to za rozsądny człowiek z tego
Rohritza, że się nie dał złapać.

— Wstąpię do klasztoru, woła Stella z rozpaczą, tam
mi przynajmniej braku taktu zarzucać ciągle nie będą.

Tymczasem obadwaj panowie w zupełnym milczeniu
dojeżdżają do stacyi kolei.

— Biedaczysko zakochane w niej po uszy, myśli rot-
mistrz, spoglądając z boku na przyjaciela, czy rzeczywiście
ma tak mało, że mu nie wystarczy na utrzymanie żony?
Tak, Rohritz jest szalenie w niej rozkochany, przed oczy-
ma i w sercu ma ciągle cudny obraz Stelli; czuje szaloną
chęć pochwylenia jej w swe ramiona, ale w tej samej

chwili powstaje w jego umyśle to dręczące, po raz setny może powtórzone pytanie: Do kogo Stella jest tak uderzająco podobna? do kogo?... tego do tej chwili odgadnąć nie może!

Naraz przypomina sobie i dziwne, bolesne uczucie ścisła jego serce.

Myślą przenosi się do Baden-Baden, obraz świeżej, niewinnej Stelli mając przed oczyma, a obok niej... teraz już widzi to straszne podobieństwo. Przy zielonym stole rulety siedzi czarnooki mężczyzna o kruczonych, wijących się włosach, o zuchwałym na ustach uśmiechu, a nad nim pochylona kobieta z resztkami minionej piękności, ciemne jej oczy błyszczą ponuro, karminem zabarwione usta rozwarłe gorączkowo; niestety! Stella to żywy portret tej kobiety.

Dwanaście lat upłynęło od tej chwili. Zdjęty ciekawością pytał o jej nazwisko; odpowiedziano mu, że to żona hiszpańskiego skrzyпка Corrège, która cały swój majątek traci stopniowo na zadowolenie szulerskiej namiętności męża. Dodawano po cichu, że pochodzi z arystokratycznej, niemieckiej rodziny, że zostawiła męża i dziecko, uciekając z cudzoziemcem z kraju. Nie wiadano na pewno, czy jest żoną, czy też tylko... kochanką, w Baden-Baden znano ją pod nazwiskiem „Madame Corrège.“

Dla czego z temi wspomnieniami przyszedł mu na myśl złośliwe uwagi Stazyi, co do nieestosownych nawyknień Stelli i temperamentu Meinecków? że postępowanie ostatniej przedstawicielki tego rodu jest często nieestosowne, temu pomimo chęci zaprzeczyć nie może.

Zajęty jest jeszcze temi czarnymi myślami, kiedy zajeżdżają przed dworzec niewielkiej stacyi; niepewność mężczyzny niewypowiedzianie i chcąc jej położyć koniec, pyta nagle spokojnie cygaro zapalającego rotmistrza:

— O jakiej to krewnej baronowej Stazyi tak często i z taką złośliwością wspominała? Czy czasem nie o tej Eugenii Meineck, którą niegdyś tak bardzo byłeś zajęty?

— Tak jest, odpowiada przymrużając oczy; było to śliczne, czarujące stworzenie, Stella bardzo ją przypomina, teraz rzucają na nią kamieniami, a najwięcej ci, co przedtem dość jej się nachwalić i napodziwiać nie mogli.

— Coż się z nią stało? pyta Rohritz z zajęciem.

— *Par dépit* poszła za wiele starszego od siebie człowieka i nieszczęśliwe było z nim pożycie, a ponieważ zły jeździec w końcu i najlepszemu popsuje konia, więc...

— Więc co?

— Po roku uciekła od męża w towarzystwie jakiegoś hiszpańskiego skrzyпка, a jak się później okazało, ordynaryjnego, źle wychowanego człowieka, który nietylko stracił cały jej majątek, ale i jak najgorzej się z nią obchodził. Mówiono, że talent miał niepospolity i uchodził za jednego z najlepszych artystów, ale jego nazwiska chwilowo sobie przypomnieć nie mogę.

— Może Corrège, przerywa Rohritz opowiadanie przyjaciela,

— Tak jest, tak, masz słuszność, Corrège.

Nadejście pociągu położyło tamę drażliwej rozmowie.

— Ucałuj paniom ode mnie rączki; raz jeszcze serdeczne podziękowanie za waszą gościnność, woła Rohritz, wskakując do wagonu.

— Do widzenia, mam nadzieję, że niedługo, ale powiedz tylko, mój drogi, czy nie masz żadnego specjalnego polecenia dla naszej małej Stelli?

— Życzę jej z całego serca, żeby się jak najprędzej pod dobrą opiekę dostała, ma się rozumieć, że mówię tu o mężu, odpowiada z naciskiem dziwnie ostrym tonem.

Pociąg rusza, Rohritz ostatni uścisk ręki zamienia z przyjacielem i po chwili zupełnie znika z przed oczu Leskjewitza.

— Do diabła, myśli sobie energiczny rotmistrz, tym sposobem biedna Stella niewiele może mieć nadziei. Mój Boże! gdyby mnie na przykład moje stosunki nie pozwalały się z nią żenić, a gdybym ją kochał prawdziwie, to bez wahania chwyciłbym się jakiego zajęcia, dającego chleb

codzienny; tak, ale on nie byłby zdolny do tego, zanadto przyzwyczajony do życia wielkopańskiego, jakie prowadzi.

Tymczasem Rohritz zły na wszystkich i na siebie, rozparty w kącie pustego przedziału, roztrząsa w myśli poprzednią z Leskjewitzem rozmowę.

— Śliczne, czarujące stworzenie... Stella przypomina ją zupełnie... powtarza półgłosem... jedynie *par dépit* poślubiła wiele starszego od siebie człowieka i tak dalej... śliczne historie, nie ma co mówić, dodaje, zapalając cygaro i puszczając gęste kłęby dymu przed siebie. Stella byłaby za mnie poszła nie *par dépit*, ale że czuła się osamotniona, lub z wdzięczności za trochę okazywanego współczucia... a gdyby później spotkała gdzie tego czarnookiego Cina, to coż wtedy? Bogu dzięki, że musiałem wyjechać, bo byłbym niechybnie stracił głowę.

Oparty o poręcz fotelu, zamyślił się głęboko, po chwili chciał dalej palić cygaro, ale zgasło zupełnie, zirytowany tą drobnostką gwałtownym ruchem wyrzucił je za okno.

— Nie sądziłem, żeby podobne niedorzeczności tak żywo mnie obchodzić mogły, szepnął sam do siebie. Ale tak powinno się było stać, jak się stało, dodał, przygryzając usta, i w tej chwili zamknął swoje serce przed powtórnym przystępem miłości.

Na dworze wiatr szumiął ponuro, wstrząsając gałęziami drzew, ale jemu zdawało się, że to są jęki onego przed chwilą odepchniętego szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pieśń

z autografu Narcyzy Żmichowskiej.

Płyną chmurki, jak zórawie,
Po błękitnej nieba toni;
Siadło dziewczę na murawie
I żrenicą chmurki goni:
— Chmurki, dokąd wy płyniecie
Po niebieskim świecie?

— O! nam, siostrze, tam żegluga,
Tam — ku słońcu-kochankowi!...
Tam nas ciepła światła struga
Obramieni i pozdrowi.
Płyn, płyn z nami, ziemi dziecię,
Po niebieskim świecie!

Słucha dziewczę i westchnieniem
Chmurek czepia się sukienki,
I z anielskim cudnym pieniem
Pomieszała swe piosenki.
Gna z chmurami ziemi dziecię
Po niebieskim świecie!

— Co to, siostry, czerni w dole?
Co mi w ucho bólem dzwoni?
— To nie, siostrze! to pachole
Łzy nad matki grobem roni.
Co tam! co tam! gonim przecie
Po niebieskim świecie!

— Co to siostry, tam pod nami
Wyje, jak płacz potępienca?
— To nie, siostrze, to kulami
Rozszarpano pierś młodzieńca.
Co tam! co tam! gonim przecie
Po niebieskim świecie!

Pędzą chmurki! . . . ale jedna
Zatrzymała się w pogoni
I westchnęła z bólu biedna
I w dół patrzy i łyzy roni.
W łzach skonało ziemi dziecię
Na niebieskim świecie.



Woltyżerka.

Komedia w jednym akcie

przez

Emila Pohl'a.

(Ciąg dalszy.)

ENGELHARD.

Przypadek, naturalnie, tylko ten przypadek. (*do siebie.*)
To było głupio. (*głośno.*) Wybacz pani, jeżeli napomknąłem
o czymś, co pani jest nieprzyjemnym. Pozwól, że się przed-
stawię. Jestem Engelhard Meiningshausen, ordynat, oby-
watel ziemski, „szlagon,” jak nas nazywają.

ŁUCYA.

Bardzo mi przyjemnie. Lecz kimżeż ja jestem
podług pańskiego mniemania?

ENGELHARD (*z uprzejmym ukłonem.*)

Boże uchowaj, tego nie śmiałybym nigdy wypowiedzieć.

ŁUCYA (*śmieje się.*)

Ale to zabawne.

ENGELHARD (*do siebie.*)

Nie, jak ona się śmieje!? Niech ją....

ŁUCYA.

Nie mam powodu wstydzić się mego nazwiska.

ENGELHARD.

Wcale nie — przeciwnie. Nazwisko pani — ktoż go
nie zna? sława pani bajeczna. Cezar marzy tylko o pani.
Przygotował mnie na widok czarującej postaci.

ŁUCYA (*zdumiona.*)

Jak to być może? Jakżeż mógł wiedzieć, że mnie tu
sprowadzi podobny wypadek.

ENGELHARD (*do siebie.*)

Nie, jak ona udaje! (*głośno.*) Masz pani rację, tego
nie mógł wiedzieć. Jakżeż miałby to wiedzieć? Zupełne
niepodobieństwo. Wszystko wiedzącym nie jest poczciwy
Cezar.

ŁUCYA (*przestraszona, oddalając się od niego, do siebie.*)
Ten pan zdaje się mieć bzika.

ENGELHARD (*do siebie.*)

Ma mnie za waryata, widzę jej to z miny.

ŁUCYA (*do siebie.*)

A jednak tkwi coś poza tem, o czym dowiedzieć się
muszę. Muszę wiedzieć, kogo baron tu oczekiwał. (*głośno.*)
A więc znasz mnie pan? To dobrze! Baron oczekiwał
mnie, nie robię z tego tajemnicy. Widzisz pan, jak jestem
otwartą.

ENGELHARD.

Miło mi to bardzo — podaj mi pani rękę. (*Łucya waha
się.*) Nie ociągaj się, pani, i przyjmij zapewnienie, że przy-
jemnie mi jest poznać panią. Czy pani uwierzysz, że dotąd
nie widziałem jej nigdy? Prawda, że to cud?

ŁUCYA (*badawczo.*)

Cud, masz pan słuszność.

ENGELHARD.

Nie miałem jeszcze przyjemności widzenia pani w swoim
żywiolu. Rzadko bowiem bywam w mieście.

ŁUCYA (*bardzo zdumiona.*)

W swoim żywiolu?

ENGELHARD.

Excusez! (*do siebie.*) I to znowu jej się nie podoba.
Niedługo nie będę wiedział, o czym z nią mówić. Ach!
co tam! (*Głośno.*) Nie bierz pani tego za złe. Strzelam
bąka za bakiem. Zdarza się to zwykle, gdy trzeba mówić
inaczej, jak się myśli. W takim razie robi się tylko same
głupstwa. Cezar zabronił mi robić aluzye do jej zawodu.

ŁUCYA (*do siebie.*)

Coraz zabawniej. (*Głośno.*) Cezar przesadza, tak obra-
źliwą nie jestem. Na przykład pozwalam panu nazywać
mnie, jak mu się podoba.

ENGELHARD.

A więc wolno mi?...

ŁUCYA.

Śmiało. Zdaje mi się jednakowoż, że pan sam nie
wiesz, kim jestem.

ENGELHARD.

O! wiem, wiem.

ŁUCYA.

A więc, sans gêne — nazywam się?

ENGELHARD.

Panna Claire Bellerosa z cyrku.

ŁUCYA.

Z cyrku?

ENGELHARD.

Pierwsza woltyżerka w świecie.

ŁUCYA (*na stronie.*)

A więc wydało się. Prześlicznie, panie baronie.

ENGELHARD.

Jestem przyjacielem i powiernikiem Cezara. Dyskre-
cya dla mnie rzeczą honoru.

ŁUCYA.

Umiem to cenić w mężczyznach. Panie -- (*szuka
w myśli.*)

ENGELHARD.

Meiningshausen, na imie mi Engelhard.

ŁUCYA.

Bardzo ładne imie.

ENGELHARD.

Takie mi dano i muszę być z niego zadowolonym.
Pani musisz się także zadowolić, iż zamiast z Cezarem
zjesz kolacyą z Engelhardem. Ot! jak ładnie i gustownie
kazał wszystko przysposobić. Nie jestże to wrzuszającym?

LUCYA.

Bardzo. Nie uwierzysz pan, jak mocno jestem tem wzruszona. Ze wzruszenia nie będę mogła pewno jeść wcale.

ENGELHARD (*wesoło.*)

To się znajdzie. (*Dzwoni.*) Byłoby to coś nadzwyczajnego. (*do siebie.*) Mówiono mi, że takie damy z cyrku jedzą, jak wilki, a co dopiero piją! (*Głośno.*) Czy pani nie raczysz siadać? Przy kolacy mile się gawędzi. Mam pani wiele do opowiadania o biednym Cezarze. Cożby dał za to, gilyby był na mojem miejscu.

LUCYA.

Ktoż wie, czyby mu było przyjemnie?

ENGELHARD.

Nie wątpisz pani przecież o jego miłości? O! to byłoby okrutnem, nie przeżyłby tego.

SCENA XII.

Ciż sami. OTON (*z lewej strony.*)

OTON.

Co jaśnie pan każe?

ENGELHARD.

Przynieś kolacyą i szampana.

OTON.

Natychmiast. (*do siebie.*) Rozpoczyna się pijatyka. Dzielna dziewczyna, zupełnie w moim guście. (*Wychodzi i przynosi kolacyą i szampana, poczem odchodzi.*)

ENGELHARD.

Czy wolno prosić? (*Podaje jej ramię i prowadzi ją do stołu.*)

LUCYA.

Za wiele uprzejmości, łaskawy panie.

ENGELHARD.

Jest mi to wrodzone, łaskawa pani.

LUCYA (*siadając.*)

Ładna i elegancka jest willa barona.

ENGELHARD.

Dla mnie pobyt w mojem starem zamczysku o wiele jest przyjemniejszym. Cieszę się zawsze, jak dziecko, gdy po dłuższej nieobecności wracam do domu. Należ wina, Otonie! — Wychylmy pierwszy kieliszek na nasze przywiązanie do rodzinnego gniazda. (*Pije.*)

LUCYA.

Niezawodnie masz pan miłe stosunki rodzinne?

ENGELHARD (*poważnie.*)

Rodzinne? Nie mam rodziny, jestem zupełnie sam. Wszyscy poumierali. Ostatni z rodu siedzi przed panią.

(*Oton wychodzi.*)

LUCYA.

Przecież nie pozostaje się samym całe życie.

ENGELHARD.

A — pani masz na myśli małżeństwo? Radbym się ożenił, ale nie mogę, absolutnie nie mogę. Obawiam się też śmiertelnie, aby się nie zakochać, uciekam na sto mil przed każdą ładną twarzą.

LUCYA.

Więc pan nie chcesz się ożenić?

ENGELHARD.

Nie wolno mi, muszę sadzić drzewa.

LUCYA.

Drzewa sadzić?

ENGELHARD.

Rzecz się tak ma. Poprzednik mój, ordynat, rozrzućny stryjaszek, wyciął wszystkie lasy naszego pięknego majątku, a ja znowu napowrót zakładam zagajenia — i ot! to wszystko.

LUCYA.

To pięknie. (*podnosi kieliszek.*) Trąćmy na rozrost pańskich lasów.

ENGELHARD (*wesoło.*)

Dobrze, niech rosną moje dęby i buki. (*pije.*) Pani jesteś rzeczywiście zachwycająca. Inaczej wyobrażałem sobie damy z cyrku.

LUCYA (*wesoło.*)

O! wierz mi pan, bywają przyjemne wołtyżerki.

ENGELHARD.

Bez wątpienia. Ale wszystkie te, które dotąd widziałem, uróżowane, umalowane, podpadające toaletą, braniem się i wyrazem twarzy!! — Pani, co innego: skromna, miła, elegancka, pełna prostoty i kobiecego wdzięku, tak, że nawet nie byłbym nigdy przypuszczał z jej strony tak śmiałego kroku. (*zartobliwie grożąc.*) Oj! dziecko, dziecko... Gdybyś sobie była nóżkę złamała, lub wykręciła? Cezar byłby w rozpacz.

LUCYA (*badając.*)

Widzę, że pan nie znasz całego położenia rzeczy; jakież byłoby mi przytem groziło niebezpieczeństwo?

ENGELHARD.

Nie bierz mi pani tego za złe: naumyślnie wykopano dół, usłano siano. Co się pani działo na myśl tego krachu?

LUCYA.

Krachu?

ENGELHARD.

To wszystko ukartowane dla ratowania pozorów.

LUCYA (*dalej badając.*)

Tak — jak pan to sobie wyobrażasz?

ENGELHARD.

Sądzę, że nie trzeba się puszczać na takie awanturki. Nie bierz mi pani tego za złe, lecz ja uważam to za zrządzenie opatrności, że Cezar zmuszonym był wyjechać. Skoro pani powrócisz do domu, udaj się na spoczynek i bądź kontenta, że pod każdym względem wyszłaś cała i bez szwanku.

LUCYA (*serdecznie.*)

Proszę, podaj mi pan rękę. Dziękuję, serdecznie dziękuję. Nie wiesz pan, jak wielkiego unikłam niebezpieczeństwa. (*Podnosi kieliszek.*) Na zdrowie mego prawdziwego przyjaciela. (*Piją.*)

ENGELHARD.

Za wiele uprzejmości.

LUCYA.

Gdzież jest ów pocziwy nasz Cezar?

ENGELHARD.

Pojechał na zamek do matki, bo — ma tam ważne interesy.

LUCYA (*z udanym spokojem.*)

Jakież to mogą być interesy?

ENGELHARD.

Zdarzyło się tam coś nadzwyczajnego, zdaje mi się, że dziś wieczorem odkryto kopalnię ropy w tym majątku, czy też meteor spadł z nieba — czy coś podobnego.

LUCYA.

Uważam, że z kłamstwem panu nie do twarzy.

ENGELHARD (*spuszczając oczy.*)

I ja to uważam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej.

I.

13 marca, środa, 1861 r.

Z chciwością polowałam na różne okazje, aż mi wreszcie powiedziano, że dzisiaj, o 9 wieczorem, będzie można listy i różne rzeczy w jakiejś poczytanej ręce powierzyć. Najpierw, Bianeczko moja, niespokojnie zapytanie, czy odebrałaś różne rzeczy, które już poprzednio do Ciebie wyexpedyowałam? gdyż mnie tutaj pomimo wskazanego adresu żadna twoja odpowiedź nie doszła i w tem samym milczeniu (mogłabym rzec śmiało nieuczciwem) w tem samym zachowuje się Erazm, Elzusia, Seweryn Elzanowski i wy wszyscy do których najpierwej dobiegłam zakołałam wieściami — „Jest w tem coś!“ — Przepytujże się o jadących do Kongresówki i wytłomacz, co to znaczy, a tymczasem, jak gdybym z pewnością wiedziała, że wszystko rąk twoich doszło, dalej ciągnę sprawozdanie o tutajszych wypadkach. Bóg widzi, nikt mię od lat wielu o zbytnią pobłażliwość nie oskarżał, zdaje mi się, że w obecnej chwili przez szkło różowe na rzeczy i ludzi nie patrzę, wyświadam ci się nawet w sekrecie, iż osobiste różne niesmaki mogłyby mi humor zakwasić i serce do wszystkiego przepełnić goryczą, jednak, co prawda, to święta prawda, moja Bianco — dobrze idzie — ludzie się jeszcze nie zepsuli — każdy pełni swoją powinność. Co tem jest dziwniejsze, gdy się wspomni, że zdarzenia zaskoczyły niespodzianie w różnych miejscach różne osobistości i że dzisiaj przywódcy są raczej z przypadku, niż z wyboru, lub usługi w pierwszym szeregu postawieni. — Dwa są punkta, w których się dwie główne prace narodowe koncentrują — jest tak zwany „k o m i t e t“ i „d e l e g a c y a.“ Komitet oddziaływa na obywatelstwo, organizuje rozkruszone jego bryłki i zdiebełka przez obywateli, stara się z wsiemi wejść w porozumienie i cały lud o prawdziwym stanie rzeczy oświecić. Delegacja głównie miasto Warszawę i bieżące przedstawia interesa — dzień po dniu, słowo za słowem targuje się z Księciem i na krok jeszcze nie cofnęła się przed nim, a Książę już cofnął się parę razy. Otoż te dwa ciała najczynniejsze, te dwa ministerstwa nasze, są według legalnych pojęć najwyraźniejszymi samozwańcami, tylko każde z nich było do czego innego przeznaczone, a teraz czem innym się zajmuje. Komitet rolniczy był najciszej Rolniczym komitetem zawsze. Dobra! sobie ludzi specjalnie mniej więcej wykształconych, już dość powiedzieć, że panowie Kurcowie i znani konserwatyści Górscy do niego weszli — a pan Andrzej Zamojski? — rewolucyjnych, choćby tylko powstańczych dążeń pewnie jego sumienie nawet w nim samym się nie domyślało. Z drugiej strony Delegacją zamianowało

z wielkim trudem na dwa dni przed 25 bardzo szczupłą kółko ludzi, rozumiejących potrzebę adresu i zamianowało jedynie do przeprowadzenia, do zredagowania i przedstawienia tegoż adresu. Wtem nagle żandarmy Tre-powa, żołdacy Zabłockiego kilkanaście trupów na bruk warszawski rzucili. Wszystkie stanęło razem do wspólnej obrony. Nie pytano o prawa i tytuły — kto mógł z brzęgu, ten służył. Pana Andrzeja nie obierano reprezentantem szlachty, ale Pan Andrzej sam do księcia pojechał z adresem i ze skargą na popełnione morderstwo. Delegacyi nikt nie sankcjonował, ale Delegacya jednomyślnie, przybrawszy sobie członków nowych, poszła na zamek i pierwsza zrucającego się, jak tygrys, Gorczakowa śmiało słowami w zdumieniu zakłęta. Musiano wam to wszystko powtarzać — ja tylko zwrócę twoją uwagę, że to nie żart jednak pół idyotę, pół wściekłego despotę na wodzy utrzymać i gdy on pod bokiem czuje armaty, gdy na skinienie wszystkie place i ulice bagnętami mu się jeżą, wymodz na nim jedno, jakkolwiek mało znaczące, ale zawsze dla nas konieczne ustępstwo. Bo to widzisz, Bianeczko, są nawet w polityce jakieś ludzkie strony. Gorczaków od dzieciństwa swego nigdy nie słyszał wyrazów, które się wtedy o jego uszy obily — nowość większe zwykle czyni wrażenie. Ale mniejsza o jego wrażenia, to jest pewnem, że przyrodzone usposobienie bardzo prędko wróciło i z dołączonych tu protokołów najlepiej się przekonasz, jakie twarde do zgryzienia zadawał orzechy. Delegacya według tego, co ci już wspomniałam, gruntu z pod stopy nie puściła. Jej działalność miała się ograniczyć na utrzymaniu porządku w czasie pogrzebu i następujących po pogrzebie nabożeństw — z tak ciasnych ramek wyszedłszy, rozszerzyła swoje prawa, wzięła w opiekę uwieczonych i zaczęła organizować konstablów t. j. straż obywatelską. Mówił mi jeden z delegatów, że wybrany do tej czynności kupiec Kwiatkowski taki im wyborny projekt przedstawił, jak gdyby się nie handlowi, lecz wojskowości dotychczas poświęcał. Nie bez tego, żeby się i mal-kontentów różnych nie natworzyło. Moralne zwycięstwo nasze wielu burzliwszym umysłem zdawało się już stanowczą na polu bitwy wygraną, widzieli rozproszoną armią moskiewską i dla tego też stawiali niepodobne do przeprowadzenia wnioski, żądania, projekta, istnie jakbyśmy już mieli rząd narodowy, narodowe wojsko i z pięćdziesiąt tysięcy pobitych, lub w niewolę wziętych nieprzyjaciół. Zaczynały gdzieniegdzie kiełkować tak zwane kluby Mirosławczyków, a co więcej głębiny ludowe ciągle wzbierały chęcią krwawego za swoich porąbanych i postrzelanych odwetu. Delegacya między temi przepaściami szczęśliwie aż po dzień dzisiejszy kroczyła i doczekała się nakoniec odpowiedzi cesarskiej. Odpowiedź niekoniecznie zadawałająca, właściwie mówiąc, nie odpowiedź żadna, lecz przynajmniej jakieś postanowienie, pierwszy akt dramatu zawierające. Ma być Rada stanu — Muncypalność dla wszystkich miast i osobny wydział, edukacyą publiczną reformujący. Stosunkowo do potrzeb naszych i do sprawiedliwości są to maluczkie drobnostki — stosownie do tego, czem grożono i do tego, cośmy zrobić gotowi, są już pierwsze dość gruntowne podwaliny. Bo trzeba ci wiedzieć, że ciągle nas straszono stanem oblężenia, jednak czuliśmy, że stan ów może tylko trochę sparaliżować działanie Warszawy, tego zaś, co na kraj się rozsiało, nie przytłumi, i dziś czujemy znowu, że instytucje, które dawniej mogły dać się na szkodę naszą użyć przedajnym rękóm, teraz przy rozbudzonej opinii narodowej, przy czujności i nacisku wpływowych ludzi muszą służyć naszej sprawie. — Znalazł się punkt wyjścia, nie wiem, jak tam w dalszych kołach to rozumieją, ale ci, których wypowiedzieć się mogą bardzo dobrze rozumieją, że od punktu wyjścia dalej iść trzeba.

W tej chwili przybiegł jeden z moich znajomych i przynosił listę tych, których już uwolniono na ciągłe wezwanie Delegacyi. Wiadomość o odpowiedzi cesarskiej już się rozszła. Resursa jest pełna i ze wsi mnóstwo przybyło obywateli, radzą, gwarzą, żyją — och! jeszcze nie żyją — ale chcą już żyć, chcą być, chcą stać się.

Poselam ci różne rzeczy do przeczytania, bo to u nas stan taki dziwny, że się wszystko gada głośno i pisze, a drukować nie wolno. Na dowód, jak są u nas żydzi dobrze uposobieni, masz najpierwszy ich manifest, u p o w a ż n i a j ą c y do podpisania adresu, polecam ci zakończenie: „aby Cesarz żył tak długo, jak mu tego zyczą.“ Następnie znajdziesz kazanie, które tem jest godniejsze uwagi, że je powiedział żyd niegdyś z Poznania przybyły, Jastrow, inne na Nalewkach, równie być miało serdeczne, a jako dowód, że się i nasza szlachta rozrzewniła przemowami, uchwalono składkę i kupują już dwa świeczniki do dwóch synagog. Ponieważ Jastrow głównie za tekst wziął te słowa Józefa z pisma św. „Szukaliśmy braci naszych,“ więc na świeczniku będzie napis: „Braćmi są dzieci jednej ziemi.“ Zdaje mi się, że gdyby pisma wasze ogłosiły te różne odezwy, zwłaszcza też okólnik rabina ostatni, może, nie spodziewam się, ale przypuszczam tylko, że i na waszych izraelitów możeby to jakieś wrażenie wywarło.

W dodatku przy protokołach i różnych żydowskich sprawach poselam ci jeszcze wezwanie od Polek do Polek; wyszło to z otoczenia Andzi Skm., lecz według mego zdania, rozszerzone po całym kraju nader zbawienne może wyrzec skutki. Węzłem gordyjskim jest dla nas stosunek do ludu — uwłaszczenie to bardzo powoli działające lekarstwo, podobne środki długiego potrzebują czasu — a zresztą w jednym im wierzą, w drugim im nie wierzą. Trzeba zatem o co innego się postarać. Trzeba wraźniem drogę torować do prawdy i przekonania. Otoż zdaje mi się, że z wrażeń najskuteczniejszym będzie widok tych gromad kobiecych z księżmi na czele, po różnych szlakach i drogach do jednego miejsca z tą samą prośbą dążących: „Aby Matka Najświętsza Matce Naszej Polsce błogosławiła.“ To już nie propaganda żadna, nie dowodzenie żadne, nie sąd żaden między krzywdzicielami a pokrzywdzonymi, to po prostu komunია uczucia, słowo jedno stawione nad gwarem podrzędnych wyrazów. Ani obietnice lepszego bytu, ani usprawiedliwienia panów, ani jakibądź interes nie wyrówna według mego pojęcia i pewności mojej temu świętemu imieniowi Polski, Ojczyzny — tej modlitwie całego kraju wspólnie na wsze strony odmawianej. Gdyby i od Was z Poznańskiego choć nadgraniczne powiaty wybrały się pielgrzymką do naszej Częstochowy we wskazać się mającym czasie, toby wielce zbawiennem być mogło. Na Galicyą także rozesłać podobne wezwania — wszędzie, kędy się dosięgnąć uda.

Jeśli ci jeszcze daty ostatecznej przesłać nie mogłam, to dla tego, bo są ludzie, którzy oddawna myślą nad urządzeniem innej pedagogicznej dla ludu manifestacji i chcą wymiarkować, aby jedno drugiemu nie przeszkadzało — trzeci Maj nie w Warszawie już tylko, lecz w całej Kongresówce przynajmniej solennie będzie obkodzony, a ma się rozumieć, że chłopom jest przeznaczona pierwsza rola, każdy widzi, iż z tej strony najpilniejszego ratunku trzeba.

Z niektórych okolic smutne bardzo dochodzą wiadomości. Rządowi ajenci rozpuścili tu potwarz, że dla tego do panów strzelano, bo nie chcieli uwłaszczenia podpisać. Jużćci prawda, jak oliwa na wierzch wyjść musi, ale zawsze co smutno, to smutno, że mógł ją i na chwilę tak czarny fałsz przygłuszyć.

Obok tych poważnych rzeczy znajdziesz jeszcze w pakietku różne krążące tu wierszyki na zabawkę, chciałam i anegdot kilka brukowych zebrać, jak Zawołocki dostał tytuł „Duc d'Orgelbrand,“ bo strzelał naprzeciw jego księgarni. Jak Matias Rosen dawał 300 rubli rannemu w środku żydowi, aby umarł. Jak Muchanów (lecz to już ściśle historyczna anegdota) mówił do Redaktorów gazet: „i coż tak za tynni poległemi płaczecie, jakbyście Kościuszkiego, albo Łokietka stracili“ i wielu tym podobnych efemeryd miałam spisać dla ciebie, ale już czasu nie ma, bo okazała za godzinę odchodzi, a chciałabym jeszcze do Tekli i Erazima kilka słów jej powierzyć.

Tekla się do nas zgłaszała, lecz widać listy giną na

poczcie, bo widać, stąd jeden, a z jej strony drugi kędyś przepadł.

Czego jej dzisiaj nie dopiszę, w tem mnie zastąpisz, Bianeczko, bo tak się jakoś składa, że przy każdej sposobności wybieram się do różnych osób z długimi listami, a tylko do ciebie je pisuję.

Żegnaj, moja serdeczna, staraj się odpowiedzieć co prędzej, bo zwątpię zupełnie o możliwości jakiegokolwiek korespondencyi i w dawne milczenie zapadnę.

Słyszałam, że mają być piękne bardzo w „Dzienniku Pozn.“ artykuły, lecz dostać nader trudno, ani wiem, kiedy się z nimi spotkam.

Za wielkość pakietu przepraszam, ale tak go biorą z rąk moich, że nawet nie wiem, czy go dowiożą na miejsce, czy gdzie na pocztę rzucą, trudno zaś wyrzec się pewnej sposobności i tylu rzeczy dla ciebie umyślnie zbieranych nie przesłać.



KRYTYCZNY POGLĄD

na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 17.)

Wiedeński lekarz, Prof. Alois Monti*), polecił w roku zeszłym, jako pokarm i środek leczniczy dla niemowląt i dzieci, znany i u nas od lat kilku dość powszechnie kefir.

Napój ten, pierwotnie na Kaukazie używany, gdzie go pierwszy Dr. Dmitriew z Jalty wykrył, a następnie wielokrotnie opisywał i polecał — znalazł szybko w południowej, później i w północnej Rosyi licznych zwolenników, obecnie zaś stał się prawie w całej Europie przedmiotem badań tak przyrodników, jak i lekarzy. Pierwsi dochodzą w nim rozwoju bakteryi i grzybków, zawartych w fermentacie do przyrządzania kefiru służącym, badają części jego składowe podczas fermentacyi użytego doń mleka itd., a lekarze oprócz tego sprawdzają owe zachwalane przez kolegów rosyjskich własności lecznicze i odżywcze tego dość miłego napoju.

Monti kazał przyrządzać kefir z mleka gotowanego, zresztą jak zwykle za pomocą owych t. n. ziarenek kefirowych (Kefirkörner.)

Ziarnka te, powszechnie grzybkami zwane, złożone są z dwóch części, masą szluzową ze sobą spojonych.

Na grzybku, dość powszechnie znanym, w zwykłych naszych młodziach napotykanym (Sacharomyces cerevisiae Meyen), osadzone są laseczniki t. n. bakterye, noszące miano „dispora caucasica,“ nadane im przez badacza niemieckiego E. Kerna, uwzględniającego przeważnie owe dwa jądrka w każdej z nich ukryte.

Kefirowe ziarnka mają postać maleńkich kalafiorów, rozmnażają się w mleku słodkiem z nadzwyczajną szybkością — a odpowiednio chodowane, służyć mogą do sztucznej tej fermentacyi jego bardzo długo.

Kefir różni się od zwykłego mleka zsiadłego przeważnie zawartością wysoką (alkoholu) i obfitą ilością kwasu węglanego, kosztem cukru mlecznego powstałych. Alkohol wynosi zdaniem profesora Monti w pierwszym dniu 0,4° w trzecim już 1,5°. Części białkowate mleka niewiele

*) A. Monti. Ueber Kefir und seine Anwendung in der Kinderpraxis. (Allgem. Wiener medic. Zeitung 1887. No 22 u. 23.) —

się tu zmniejszyły, również i ich przemiana w peptony jest zupełnie nieznaczna.

Monti twierdzi, iż kefir oddawał mu dobre usługi u niemowląt i dzieci, osłabionych, ciężkimi chorobami wyniszczonych, cierpiących na przewlekłe nieżyty żołądka, kiszki, płuc, na gościec (rheumatismus) stawowy itd. i poleca go w małych, przez dłuższy czas używanych dawkach.

Dr. Escherich*) z Mnichowa nie godzi się na środek ten i słusznie zupełnie zwraca na to uwagę, że potrzeba pewnej osobnej odwagi, aby niemowlętom i dzieciom podawać, jako pożywienie, mleko kiszące i oprócz wymienionych grzybków i bacyli, inne jeszcze chorobotworcze zarodki zawierające. Miał tu prawdopodobnie na myśli pleśniawki t. n. leptothrix i oidium lactis przez Struvego w kefirze wykryte.

I my uważamy kefir za środek leczniczy dla niemowląt niestosowny, a dla dzieci młodszych za nadto wyszukany, który i dorosłym osobom łatwo zaszkodzić może, jeśli odpowiednio i z wielką troskliwością nie jest przyrządzanym. Osobom dorosłym, wystawionym na różne cierpienia, podkopujące ustroj cały — oddać może kefir znaczne usługi.

Z wyrobów płynnych, z mleka krowiego, jako sztuczna pożywka dla niemowląt i dzieci przyrządzanych, pozostałyby tylko jeszcze jeden do omówienia. Wyrób ten, noszący miano polewki Liebiga, właściwie już obok owej powyżej opisanej konserwy Löflunda umieścić wypadało. Ponieważ i o tym tak powszechnie zachwalanym pokarmie niemowlęcym tyle już pisano, pozostawiliśmy wzmiankę o nim aż do obecnego miejsca, aby przytoczyć choć po krotce sąd o nim wydany.

Dr. Sawicki**) twierdzi, że najznakomitsi lekarze bardzo zalecają zupkę słodową Liebiga, która od trzeciego, lub czwartego miesiąca życia dziecka jest pokarmem nieoszacowanym, bo jest bardzo dobrym środkiem przeciw katarom kiszki, wywołanym używaniem mleka krowiego zamiast piersi matczynej i w wypadkach dyzenterji.

W szpitalu św. Anny, podaje dalej, przygotowują tę zupkę w następujący sposób:

Miesza się pół słodu dobrze przetartego (17 grm.) z dwoma łożkami wody przekroplonej i dodaje się 1/2 grama węglanu potażu; mieszaninę pozostawia się w spokoju na 1/2 godziny.

Bierze się pół kwatkerki (180 gramów) mleka słodkiego wprost od krowy; mniejszą połowę (około 80 gramów) tego mleka miesza się na papkę z jednym łożkiem (17 gramów) mąki pszennej średniego gatunku; drugą większą połowę gotuje się, wlewa ową poprzednią, papkowatą połowę, mieszając i gotując dopóty, dopóki nie zmieni się w płyn gęstszy od śmietany.

Po odstawieniu od ognia miesza się płyn ten z wspomnianą najpierw mieszaniną słodową i wstawia do naczynia napełnionego gorącą wodą, aby powoli wystygło. Nareszcie po pół godziny przeciera się tę papkę przez gęste sitko i chroni, aby łupinki słodowe nie przeszły.

Zupka, tak przyrządzona, ma gęstość maślanki, barwę brudno białą, smak słodki i zapach, piwo przypominający.

*) Dr. Escherich (München)
Centralblatt für Kinderheilkunde No 13. 20. 8. 1837.

**) Dr. Jan Stel a-Sawicki, Inspektor szpitali.
Rady dla młodych mężatek. Lwów 1877.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości artystyczne i rozmaiłości.

W Künstlerhanzie wiedeńskim, na międzynarodowej wystawie sztuki znajdują się obrazy i naszych artystów. Wiele z nich znanych jest już szerszej publiczności z salonów warszawskiego „Towarzystwa zachęty sztuk pięknych,” albo z zeszłorocznej wystawy krakowskiej. Ogólnie zachwycają się w Wiedniu „Etapami“ Jacka Malczewskiego, świetną kreacją pod względem kompozycji, techniki i prawdy życiowej, przemawiającej nawet do profanów; tenże artysta wystawił: „Karawanę w górach taurydzkich,” piękny pejzaż, znakomitą zwłaszcza odznaczający się perspektywą powietrzną. Wojciech Gerson przysłał „Głowę Chrystusa,” a Paweł Merwart „Pianistkę,” prawdziwe cacko salonowe. „Zdjęcie z krzyża” Umierzyckiego znamionuje wprawdzie talent wyższy, potrzebujący jednak wiele jeszcze pracy i studyów. Do największych płócien polskich należą: „Wskreszenie przez św. Piotra” Mańkowskiego i „Bitwa w olszynie” Wojciecha Kossaka, znakomitość w tym rodzaju. Drugi obraz pędzla Kossaka: „Jak atakuje landwera,” przedstawiający austriackich ułanów, nacierających na nieprzyjaciół, pod względem wykonania nie ustępuje pierwszemu Ajdukiewicz, Popiel, Roman Kochanowski przysłali także swoje obrazy; ostatniego „Krajobraz zimowy wsi polskiej” zakupił cesarz Franciszek Józef do zbiorów belwederskich. „Akwarele” Juliusza Kossaka nie tracą wcale pomiędzy cudzoziemskimi arcydziełami.

Włoski artysta, Negri, który na gościnne występy przyjechał do Warszawy, posiadać ma bardzo piękny tenor, głos obszerny i silny i dar przedziwnej deklamacji muzycznej, uwydatniającej się szczególnie przy mniej melodyjnych ustępach utworów Wagnerowskich. Najwięcej sposobności do okazania wielkich zalet swojego znakomitego talentu znajduje Negri w Lohengrinie. Robercie, Aidzie i Tamhäuserze, są też to jego ulubione i najlepsze popisy.

„**Córki na wydaniu**,” farsa w trzech aktach, napisał Edward Zdąnowski. Pod tym tytułem wystawiono w Warszawie, w Teatrze nowym, w pierwszych dniach b. m. krotoczwilę, którą publiczność przyjęła życzliwymi oklaskami. Jest tam, jak nam donoszą, sporo dowcipu, nienaciąganego humoru i wcale zręczny układ, skąd całość zrobiła wrażenie dodatnie i do szczerzej pobudzała wesołości. Od farsy więcej wymagać prawie nie potrzeba. Za przedmiot wziął sobie autor kantor stręczenia małżeństw. do którego puka i biedny, stroskany ojciec, mający kilka córek na wydaniu i stara panna z pieniędzmi. Postaciom swym wybrał autor nader charakterystyczne nazwiska, jak: Golicki, Fajarkiewicz, Naciągalski, Gwizdalski, żyd Schwindelmacher, Szparkowska, Głupecka, Rajfurowska, właścicielka kantoru. która uwieńczyła całość, zalecając wesoło przy końcu sztuki usługi swojej publiczności

„**W Teatrze wielkim**” warszawskim dają obecnie przedstawienia dramatyczni artyści teatrów cesarskich z Petersburga. Odegrali już kilka komedji, dosyć podobno udatnych pod względem artystycznym, a trupa posiada także kilku utalentowanych aktorów.

— **W Hipcu** pomiędzy 19-ym a 21-ym odbyć się ma we Lwowie zjazd przyrodników i lekarzy polskich. Na ich przyjęcie wydział krajowy przeznaczył 2,000 zlr., a komitet wyrobił na kolejach zniżenie cen opłaty od jazdy. Zapowiedziano już wielką ilość odczytów odpowiednich, oraz kilka wspólnych wycieczek po kraju, jak n. p. do Iwonicza, który właśnie w bieżącym sezonie będzie obchodził swój 50-letni jubileusz i na Czarnohort pod opieką i kierownictwem „Towarzystwa tatrzańskiego.”

— **Autor** kroniki tygodniowej w jednym z ostatnich numerów „Tygodnika ilustrowanego“ skarży się bardzo słusznie na Warszawiaków, mianowicie z północno-zachodniej dzielnicy miasta, że z cmentarza powązkowskiego czynią sobie prawdziwy ogród spacerowy. W niedziele i święta po południu tak tam tłumno, wesoło i gwarno, jak w Łazienkach, w ogrodzie Botanicznym, lub w Szwajcarskiej dolinie. Żarty, komplimenta, śmiechy, palenie cygar i papierosów, siadanie na kamieniach grobowych, lub grobach samych uważa wesołe towarzystwo za rzecz bardzo naturalną i przyzwoitą, a nawet swobodę swoją posuwa tak daleko, że zrywać kwiaty z krzewów, rosnących nad grobami, albo bez ceremonii zabierać do domu doniczki z kwiatami z grobów cudzych nie ma sobie ani za świętokradztwo, ani nadużycie. Istotnie pożalowania to godna swawola i dziwimy się razem z szanownym kronikarzem, dla czego służba cmentarna toleruje podobne rzeczy i lepiej nie pilnuje porządku.

— **W Łodzi**, fabrycznem i bardzo zniemczonem mieście Królestwa Polskiego, odbyła się niedawno poważna i podniosła duchem uroczystość. Ks. arcybiskup Popiel przybył tamże na poświęcenie nowego parafialnego kościoła św. Krzyża, a równocześnie na położenie kamienia węgielnego pod drugi kościół Wniebowzięcia N. M. Panny. Z całego dekanatu duchowieństwo zjechało na przyjęcie czcigodnego arcybiskupa, a w uroczystościach brała nawet udział niekatolicka ludność Łodzi. Przy tej sposobności udzielał ks. arcybiskup sakramentu bierzmowania.

— **Warszawa**, której projekt przecięcia i zmniejszenia Saskiego ogrodu psuł długo dobry humor i obrażał delikatne uczucia, obecnie cieszy się nadzieją, że dzielnica nad Wisłą, t. j. cały szeroki brzeg rzeczny od mostu do Solca, ma zostać uporządkowanym i zatwierdzonym na bulwary, a raczej plantacye. Jakiś przedsiębiorczy inżynier wystąpił właśnie z odpo-

wiednio opracowanym planem. Niezawodną jest rzeczą, że wzmiankowana dzielnica Warszawy przynajmniej pod względem sanitarnym zyskałaby wiele przez wykonanie projektu.

Promyki.

Nic niewarta cnota, której spełnienie nie wymaga ofiary.

Krzyżami przerabia i uprawia Bóg rolę serc naszych, by w nie wrzucić ziarno łask wielkich. Cierpliwości zatem i odwagi!...

Być prawdziwie rozumnym znaczy umieć nad sobą panować, nie ugiąć się pod brzemieniem przeciwności, być hartownym wobec wszelkiego rodzaju cierpień, udręczeń i nieszczęść.

Praca dodaje duszy męztwa.

Silna wola łamie wszelkie przeciwności.

Płacz, ale ufaj... boleść minie, a Bóg nigdy nie przeminie.

Gdy trwoga, rozpacz i zniechęcenie ciemnością duszę twą ogarną, zawołaj: o! Boże... jak dziecko wyleknione woła: o! matko... Czyż matka nie przyszyłaby na wołanie dziecka z pociechą?... I Bóg przyjdzie!

OD REDAKCYI.

Dzisiejszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale, a zarazem kończy półroczną exystencją „Domu polskiego.“

Czujemy to, niestety! i niezmiernie nad tem ubolewamy, żeśmy w tym przeciągu czasu — mimo najszczerzych chęci i gorących usiłowań — nie zdołali wypełnić w całej rozległości zadania i programu pisma, określonego nasamprzód ogólnie w osobnym prospekcie, następnie szczegółowo w znakomitym artykule (w num. 1) p. n. „Dom polski“ nieodżałowanej pamięci pośła, K. Jarochowskiego, a wreszcie własnymi dopełnionymi uwagami (w numerze 2) w słowie wstępnem: „Od redakcyi.“

Ileż to razy, w dzisiejszych mianowicie wyjątkowo ciężkich czasach, najgorętsze chęci — jak fale morskie o brzegi skaliste — rozbijają się o twardą opokę niepowodzenia i niemożliwości!... ileż to razy ciężkie trudy i znojne prace idą na marne, owoce szlachetnych dążeń gorzkie bywają i płonne, zacne usiłowania bezkuteczne! — Jedyną wtedy pociechą wewnętrzną przekonanie, że się wedle sumienia zrobiło wszystko, co mogło, a „głową muru nie przebić“ — jak mówi przysłowie.

Podobnie z usiłowaniami redakcyi naszej. Doznaliśmy pod wielu względami smutnych zawodów i gorzkich rozczarowań.

Nie zwątpiliśmy jednakże; przeciwnie, ufamy, że w nowem letniem półroczu jaśniejsza zabłyśnie nam gwiazda na pogodniejszym niebios widnokręgu!...

Mamy pewne dane rozszerzenia grona swych współpracowników zdobyciem nowych sił literackich, a tem samem wzbogacenia łamów „Domu polskiego“ świeżej treści artykułami i większą różnaitością przedmiotu.

Tym sposobem pismo nasze, walcząc z przeszkodami, łamiąc się z przeciwnościami, powoli i mozolnie, ale wytrwale i pracowicie dążyć będzie do celu sobie wytkniętego.

Nie skarżymy się na zupełną obojętność społeczeństwa; owszem — zacne obywatelstwo wiejskie, skore zawsze do popierania wszystkiego, co ma cel wyższy, szlachetny, a w Poznaniu inteligencya, stosunkami z prowincją zbratana, popierają wedle możności usiłowania nasze, niejedne nawet dowody szczerzej życzliwości i sympatyj nam dają — ale ze względu, że wielkopolskie pisma, wyparte zpoza kordonu, na własnych jedynie polegać muszą siłach, potrzebujemy — aby exystować, rozwijać się i wzrastać — poparcia nie jednostek, nie jednej klasy, ale ogółu; dla tego zanosimy usilną prośbę do całego społeczeństwa z pod zaboru pruskiego, tak do obywatelstwa wiejskiego, jak mieszczan, aby o „Domu polskim“ pamiętali.

Nie lekceważmy pisma, ani go opuszczajmy dla tego, że na wielkopolskim kielkuje gruncie; czyżby ten grunt wielkopolski był w rzeczy samej tak jałowym, że wszelka zaszczipiona na nim latorośl literacka koniecznie zmarnieć na nim musi przed rozkwitem, dojzeniem i wydaniem owocu?...

Raz jeszcze przeto prosimy usilnie dla „Domu polskiego“ o życzliwość, względy i opiekę całego społeczeństwa n a s z e, które zadowolili i do jego zastosować się potrzeb będzie najgorętszem usiłowaniem redakcyi.

Szanownych prenumeratorów tak miejscowych, jak zamiejscowych, odbierających „Dom polski“ pod opaską, prosimy o składanie prenumeraty (rocznie 8, półrocznie 4, kwartalnie 2 m.) w redakcyi „Domu polskiego“, przy ulicy Wiedeńskiej Nr. 5. I p.

TREŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi). — Pieśń. (Z autografu Narcyzy Zmichowskiej). — Woltyżerka. Komedya w jednym akcie przez Emila Pohl'a. (c. d. n.) — Listy Narcyzy Zmichowskiej do Bibianny Moraczewskiej. — Krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci, napisał Dr. Józef Koszutski. (c. d. n.) — Wiadomości artystyczne i różnaitości. — Promyki. — Od redakcyi.